

Filip Memches: Spór toczy się nie o komunizm, lecz o postkomunizm

Czy w polskich warunkach postkomunizm ma szansę podzielić los komunizmu? Tak, ale aby to się stało, jedna strona sporu musiałaby przyznać rację drugiej. Dziś trudno sobie taki scenariusz wyobrazić, bowiem zarówno obóz władzy, jak i jego przeciwnicy okopali się na swoich pozycjach – pisze Filip Memches w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Czy jesteśmy zdolni porzucić PRL?

PRL wciąż kładzie się cieniem na polskim życiu publicznym. Polacy nadal spierają się o uwikłanie w system komunistyczny, mimo że zdążyło osiągnąć dorosłość pokolenie, które przyszło na świat po roku 1989. Tyle że spór rozgrywający się nad Wisłą już drugą dekadę dotyczy tak naprawdę przeszłości nie komunistycznej, lecz postkomunistycznej.

Przejawem takiego stanu rzeczy jest choćby powracająca sprawa teczki Lecha Wałęsy. Stosunek do PRL decyduje w tym przypadku o miejscu na polskiej mapie politycznej tylko pozornie. Problem z Wałęsą nie polega na tym, że legendarny lider Solidarności ma na swoim koncie – wedle ustaleń IPN – epizod współpracy z SB. Chodzi natomiast o to, jak Wałęsa zachowywał się odnośnie do swojej teczki już w III RP.

A zatem w Polsce spór dotyczy nie komunizmu, lecz postkomunizmu, przebiegu transformacji ustrojowej, w tym również rozliczenia PRL. Teczka TW „Bolka” ma o tyle znaczenie, o ile wpływa na bieżącą politykę i pozycjonuje jej uczestników. W tym sensie nie jest istotne, czy Wałęsa donosił czy nie donosił, ale to, w jakim stopniu to, co robił w latach 70., miało wpływ choćby na defensywny, zachowawczy charakter jego prezydentury. Ta zaś sprzyjała części wywodzących się z PRL-owskich struktur władzy środowisk, które między innymi uwłaszczały się na majątku narodowym i budowały nieformalne grupy interesów. Istotne zatem jest to, od kogo Wałęsa jako prezydent był uzależniony i w jakim stopniu owo uzależnienie miało związek z niewyjaśnieniem przez tego polityka ciemnych kart swojej przeszłości.

To by oznaczało, że komunizm nie jest tematem zastępczym. A zarazem sytuacja, z jaką mamy do czynienia, zadaje kłam narracji, która była w Polsce dominująca w latach 90. To wtedy elity okrągłostołowe lansowały tezę o tym, że przeszłość jest źródłem historycznych resentymentów, i w związku z tym nie należy się nią zajmować. W roku 1995 Aleksander Kwaśniewski sięgnął po prezydenturę pod hasłem: „Wybierzmy przyszłość”.

Duża część ówczesnej klasy politycznej lekceważyła wtedy rolę historii i to poniekąd kierując się słusznymi przesłankami. Bo przecież trudno zaprzeczyć temu, że przywoływanie dramatycznych wydarzeń z czasów PRL budziło i budzi emocje wielu Polaków, a już zwłaszcza ofiar systemu komunistycznego. Ale takie uzasadnione bolesnymi doświadczeniami emocje mogą zarazem przesłaniać właściwy obraz III RP, zastępując go skrajnie uproszczoną wizją Polski rujnowanej przez esbeków, którzy uwłaszczyli się na majątku narodowym.

Trzeźwy ogląd rzeczywistości nakazuje odrzucać opinie stawiające znak równości między PRL a III RP. Tyle, że nawet jeśli uznamy, że Polska po roku 1989 odniosła duży sukces, zmniejszając pod względem stopy życiowej dystans do krajów zachodnioeuropejskich, to przecież nie można bagatelizować ciemnej strony transformacji ustrojowej. Chodzi tu zwłaszcza o ustępstwa władzy politycznej wobec żywiołów ekonomicznych, uzasadniane liberalizacją prawa i gospodarki.

Świadectwem tego, że w Polsce spór toczy się nie o komunizm, lecz o postkomunizm, jest też to, iż formacja powstała na bazie PZPR właściwie zeszła ze sceny politycznej. Warto zauważyć, że racją bytu SLD była wspólnota życiorysów, a nie jakikolwiek polityczny system wartości. To właśnie tę formację zgubiło. Ale trzeba też odnotować coś, co w kontekście niniejszych rozważań jest bardzo istotne – w pewnym momencie ugrupowanie wywodzące się z PZPR przyznało rację antykomunistycznej opozycji z czasów PRL. To nie kto inny, tylko Leszek Miller wprowadzał Polskę do Unii Europejskiej, wykazywał się sojuszniczą lojalnością wobec USA i wdrażał liberalną reformę podatkową.

Dlatego w III RP komunizm w pewnym momencie przestał być przedmiotem sporu. Ale do tego stanu rzeczy przyczyniły się czynniki niezależne od stanu umysłów czołowych polityków SLD. Kwaśniewski i Miller nie mieli wyjścia, musieli pogodzić się z tym, że historia potoczyła się w innym kierunku, niż ten, który wskazywali im ich komunistyczni mentorzy w czasach PRL.

Jeśli jednak rozpatrujemy wymiar historyczny, to przecież tak jak Solidarność wygrała z komunistami, tak też Roman Dmowski wygrał z Józefem Piłsudskim i jego koncepcją wieloetnicznej Rzeczypospolitej. Tyle że również przyczyniły się do tego okoliczności, na które przywódca endecji nie miał wpływu. Polska – tak jak życzył sobie Dmowski – stała się po roku 1945 państwem jednolitym etnicznie. Ale tylko dlatego, że dokonało się coś, czego współtwórca endecji bynajmniej nie chciał – nastąpiła wojenna katastrofa. I tylko przy okazji zrealizowała ona częściowo program Dmowskiego: unicestwiła II RP z jej mniejszościami etnicznymi i wschodnimi rubieżami.

Z kolei tempo zmian, które się zaczęły pod koniec lat 80. w dawnym bloku wschodnim, przerosło wyobraźnię czołowych polskich dysydentów. Część opozycji solidarnościowej twardo przeciw obstawiała przy ustaleniach Okrągłego Stołu, co oznaczało traktowanie PZPR jako partnera, a nie wroga. Historia jednak spłatała figla i wielu byłych komunistów znacznie gorliwiej w Polsce budowało kapitalizm niż kombatanci oporu wobec reżimu PRL.

Czy zatem w polskich warunkach postkomunizm ma szansę podzielić los komunizmu? Tak, ale aby to się stało, jedna strona sporu musiałaby przyznać rację drugiej. Dziś trudno sobie taki scenariusz wyobrazić, bowiem zarówno obóz władzy, jak i jego przeciwnicy z PO, Nowoczesnej i KOD okopali się na swoich pozycjach. Każda ze stron ma swoją politykę historyczną, w oparciu o którą mobilizuje i konsoliduje swoich zwolenników.

Przypomnijmy sobie jednak, że po wybuchu afery Rywina część dawnych antagonistów Jarosława Kaczyńskiego zaczęła mu przyznawać rację w zakresie jego diagnozy dotyczącej „układu” trzęsącego Polską. Ale potem, gdy PiS doszedł po raz pierwszy do władzy, front obrony postkomunizmu zwarł szyki i zaczął walczyć przy pomocy retoryki afirmującej zdobycze Okrągłego Stołu.

Aby zatem spór o postkomunistyczną przeszłość nie determinował w Polsce politycznego podziału musi się stać coś niespodziewanego. Chodzi o jakiś polityczny kataklizm, który sprawi, że PO, Nowoczesna i KOD przestaną bronić postkomunizmu – tak jak czołowi politycy SLD – wbrew emocjom dużej części wyborców tego ugrupowania – zrezygnowali z obrony komunizmu.